

Tracz, Marian

Ścieki pruszkowskie - historia prawdziwa i pasjonująca

Przegląd Pruszkowski nr 2, 40-51

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ścieki pruszkowskie - historia prawdziwa i pasjonująca

Jeszcze przed ukończeniem studiów podjąłem pracę w Zakładzie Badań Wodociągowych i Kanalizacyjnych przy Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Była to dość przemyślana decyzja, bo w tych to pracach badawczych Zakładu mogłem pracując i dostając mizerną, bo mizerną, ale zawsze jakąś zapłatę, wyczyniać coś, co nadawałoby się na podstawę pracy dyplomowej, a przez to mógłbym zdać ostateczny egzamin dyplomowy i uzyskać tytuł magistra inżyniera chemii. Wgryzając się w dziedzinę technologii wody i ścieków miałem też szczęście, bo zostałem delegowany na tygodniowy kurs poszerzający wiedzę o zagadnienia metodyczne z dziedziny oceny stopnia zanieczyszczenia wód przez przeróżne czynniki, a głównie przez skażenie wpływającymi do wód ściekami.

Kurs ten odbywał się w Warszawie w Państwowym Zakładzie Higieny przy ulicy Chocimskiej.

Na początku lat pięćdziesiątych o problemach ochrony wód przed zanieczyszczeniem prawie nikt nie rozprawiał. Niebezpieczeństwo takie widziało tylko niewielkie grono wybitnych specjalistów, których możnaby policzyć na palcach. Co więcej, nazwa tej gałęzi wiedzy nie miała polskiego odpowiednika. Zaczęło zastanawiać się nad tym kilku naukowców, każdy na swój sposób. Ekologię lansowali profesorowie: Rudolf, Szniolis i Standerberg; Goetel proponował szozologię.

Kurs w Państwowym Zakładzie Higieny miał za zadanie szerzenie wiedzy o metodyce badań wód i ścieków. Oprócz teorii, wałkowanej przez pięć dni, szósty dzień poświęcono na wizję terenową. Chodziło o pokazanie, jak ścieki wpływające do czystych wód rzecznych zmieniają ich stan i jak rzeka walczy z tymi zanieczyszczeniami. Ale też chodziło o wykazanie, że istnieją granice zanieczyszczenia, których rzeka nie jest w stanie pokonać.

I taką pokazową rzeką była Utrata w Pruszkowie.

Z Warszawy podróż kolejką - zaczynało się oglądanie Utraty. Rzeka ta w sąsiedztwie stawów tworkowskich była wtedy idealnie czysta. Nie tylko pływały w niej różne ryby, ale w piaszczystym dnie rzeźbiły ślady swej wędrówki szczeżuje, a te są bezsprzecznym wskaźnikiem wód zupełnie czystych.

Idąc kolejno w dół rzeki oglądało się miejsca wpływu ścieków. Najpierw ze szpitala w Tworkach tuż przed mostem kolejki WKD. Te ścieki jeszcze niewielki miały wpływ na czystość wody w rzece. Ale wody te z systemu oligo-saprobowego przechodziły w alfa-mezo-saprobowy.

W dalszym biegu Utraty wpływał do niej rów melioracyjny zaczynający się aż w Michałowicach, ale odprowadzający nieco ścieków z południowej części Piastowa i z Reguł. Przy moście na Utracie w sąsiedztwie ulicy Bolesława Prusa wpływały do rzeki ścieki nie tylko miejskie ale i przemysłowe. A były one biało zabarwione kaolinem z fabryki porcelitu, drugie, zabarwione niebiesko, z fabryki ultramaryny. Tu już woda w rzece kwalifikowała się do systemu beta-mezo-saprobowego czyli do grupy wód znacznie zanieczyszczonych.

Tuż przy moście kolei PKP w Pruszkowie Utrata dostaje takie porcje ścieków i to z dwu stron, bo ze stacji kolejowej i kanałów z ulicy Owocowej, a z drugiej prawej strony z kanału ułożonego wzdłuż Czarnej Drogi toczącego ścieki z osiedla kolejowego aż w Piastowie, a także z odrębnego kanału odprowadzającego ścieki z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego, że już od takiego stopnia zanieczyszczenia rzeka nie może się uwolnić.

I tak ta woda Utraty po przepłynięciu zaledwie jednego kilometra przechodzi przez kolejne stadia systemu wskaźników zanieczyszczenia zaproponowanego przez Kolkwiza: z wody bardzo czystej zawierającej jedynie organizmy strefy oligo-saprobowej przez dwie strefy mezo-saprobowe do wody całkowicie i doszczętnie zanieczyszczonej z organizmami potrafiącymi jeszcze wyżyć w tej strefie poli-saprobowej. Ale w dalszym biegu rzeki zanieczyszczenie jej potęguje się tak, że dochodzi do braku organizmów żywych w jej wodach i rzeka zamienia się w rów ściekowy.

Tak więc już w początku lat pięćdziesiątych poznałem, że jednym z głównych problemów uciążliwych dla Pruszkowa jest zanieczyszczenie rzeki.

Po prawie dwudziestu latach musiałem zająć się tym problemem i to całkiem poważnie, a nie jak dawniej w ramach li tylko przeszkolenia. Nie jako przygodny widz, ale jako działający i walczący z czymś, co się jeszcze bardziej pogłębiło.

Bo przez te dwadzieścia lat uprzemysławiał się Pruszków, ale i beztroško traktował rzekę, nad którą osiadł.

A Utrata to rzeka nie bylejąka. Nad nią urodził się i co ważniejsze wychował Fryderyk Chopin. W Żelazowej Woli kultywuje się jego pamięć.

- A jak?

- Przez zwiedzania, wizyty oficjalne i koncerty. A dworek tuż nad rzeką. A rzeka cuchnie.-

Ponoć zemdląca od tego zapachu żona pewnej bardzo ważnej osobistości zagranicznej. Ponoć Cyrankiewicz, a był to premier w PRL nienaruszalny przez wiele lat, wściekł się przez taki to skandal i rozkazał:

- Zróbcie coś do cholery z tą Utratą! -

I proszę sobie na tym przykładzie uświadomić, jakie to prawa panowały w ówczesnym ustroju. Zaszkozić komuś czy czemuś można było pra-

wie natychmiast. Natomiast pomóc komuś, czy ulepszyć coś można było, ale nie tak szybko, a mówiąc ściśle, to wykonanie czegoś pozytywnego wymagało i wielu lat wysiłków, i trudów, i żelaznego uporu. Tak i z oczyszczalnią ścieków wpływających do Utraty sprawcy ciągną się w nieskończoność. Ile to lat upłynęło? Wprawdzie już w Żelazowej Woli nikt nie mdleje, ale jeszcze w niektóre letnie upalne dni woda w rzece nie charakteryzuje się krystaliczną czystością, jeszcze szczególnie gdy susza - to rzeka co nieco przypomina zapachem dawne czasy PRL-u.

Czy można zarzucić pruszkowianom kompletny brak dbałości o czystość Utraty?

- W czasach przedwojennych: tak.

Jak już wspomniano, miasto to zaczynało budować nie systemy kanalizacyjne, ale ścieki zaczynało chować w podziemne, ukryte kanały. Aby nie było widać i aby ich nie wąchać. Wzdłuż ulicy B.Prusa ścieki z fabryk porcelitu i farbkowej odprowadzano dwoma odrębnymi kanałami. Widać tu brak jakiegokolwiek planowania i koordynacji. Ale za to na odwrotnym jednym kanałem odprowadzano ścieki z fabryki ołówków i stacji kolejowej. Można więc skwitować okres przedwojenny w Pruszkowie stwierdzeniem, że zaczęto likwidować rowy otwarte poprzez kierowanie ścieków do rzeki kanałami krytymi. W porównaniu do wielu miast w Polsce rozwiązania takie były już znacznym postępowaniem technicznym.

Jeśli można scharakteryzować podejście do tego problemu w okresie powojennym, to zauważyć trzeba radykalną zmianę i to na lepsze.

Już w 1950 roku, w czasie budowy bloków mieszkalnych dla pracowników Zakładów Mechanicznych, wybudowano jednocześnie małą oczyszczalnię ścieków przy ulicy Pułaskiego. Składała się ona z przepompowni i osadników świeżowodnych. I co ciekawsze, że już wtedy myślano o automatyzacji tej oczyszczalni. Na razie jednak automatem był jeden człowiek, który co sześć godzin przychodził do oczyszczalni i uruchamiał pompę na 15 minut. To wystarczało. Tylko, że potraktowano ścieki bytowe z osiedla jak zwykły płyn. Takie rozwiązanie tego rodzaju zagadnienia technicznego nawet i teraz stwierdzamy niejednokrotnie. Bo wielu nawet inżynierów z wyższym przecież wykształceniem technicznym nie dopuszcza myśli, że ścieki to coś innego niż woda, że więcej lub mniej zabrudzona - no to co? - Płynąć będzie tak jak i woda czysta. A w wybudowanych urządzeniach, co nieco skomplikowanych, płyny te sprawiają nieraz niespodzianki bardzo przykre dla obsługi. Tak i w tej to małej oczyszczalni osiedlowej, płyny zwane ściekami, co kilka tygodni zatracaly właściwości wody, a przybierały konsystencję smarowidła.

Podczas tego automatycznego postoju ścieków przez co najmniej pięć godzin następowało zagęszczenie smarowidła i kanalizacja zatykała się. Uruchomienie pompy nie pomagało - i klops! -

Ścieki spiętrzały się i podtapiały piwnice bloków mieszkalnych. A w piwnicach były lokalne pralnie. Męczyli się więc mieszkańcy bloków, mogli się robotnicy obsługujący kanalizację. Wzywano na pomoc wozy asenizacyjne i z podtopionych studzienek wysysano spiętrzone ścieki.

Często to wystarczało, by płyn poruszył zatykającą przewody korek powstały ze zgęstniałych tłuszczów i innych zanieczyszczeń, dzięki czemu przez jakiś czas automatyczna przepompownia ścieków działała aż do następnego powtórzenia się tej kołomyjki.

gorzej było, gdy kanalizacja nie chciała się pod naporem ścieków odetkać. Od czego jednak pomysłowość i racjonalizatorstwo robotnicze. Ten wynalazek był specjalnością pruszkowską.

W innych miastach próbowano zatkaną kanalizację odetkać za pomocą specjalnych skręcanych drążków. W innych znowu starano się przeciągnąć chociaż nawet cienką linkę od studzienki do studzienki. A były to odległości co najmniej 50 metrów. To nie było łatwe. Na przykład we Wrocławiu stosowano sprężyste listwy z cienkich pasów jesionowych długości kilku metrów, które w miarę wpychania w przewód kanalizacyjny złączano opaską drucianą tak, by w końcu powstała długa listwa mogąca przecisnąć się przez całą długość kanału od jednej do drugiej studzienki. Wtedy do końca listwy przymocowywano koniec linki i przeciągano ponownie. A jak już linka była tam, gdzie trzeba, to już można było szczotką czy jakimś hakiem udroźnić rurę kanalizacyjną tak, by ścieki mogły popłynąć.

Wynalazek pruszkowskich kanalarzy polegał na wykonaniu tak zwanej przez nich „kontry”. Może niektórzy z nich grali w brydża?

Wąż od wozu asenizacyjnego, taki gruby, karbowany - włączano w przewód kanalizacyjny. Brzeg węża uszczelniano w rurze kanalizacyjnej i to najlepiej, roboczymi, watowanymi kufajkami. Wóz asenizacyjny zamiast ścieki wysysać, właczał je bardzo silnie. Zwiększone ciśnienie wypychało korek. Czyż nie było to wspaniałe? Jedynym mankamentem było nadzwyczajnie zwiększone zapotrzebowanie na watowane kufajki. Zużywano stare a kanalarze fasowali nowe. Im więcej było takich awarii, tym ładniej wyglądali eleganccy kanalarze w coraz to nowszych kufajkach.

Ale, gdy tę wspaniałą kontrę wykonano zbyt silnie, gdy korek nagle odpuszczał, a ciśnienia z wozu nie zatrzymano na czas, to zdarzały się nadzwyczaj wesołe dla robotników przypadki. Sprężone ścieki potrafiły nagle wytrysnąć nawet w łazienkach mieszkań na parterze. Jeden z takich wypadków zdarzył się przy ulicy Trąbalskiego. Ścieki dosłownie wytrysnęły z muszli klozetowej, podrzuciły deskę sedesową i, aby było jeszcze śmieszniej, to na tej desce stała miednica w wodę. Miednica też podskoczyła. W rezultacie zalana została nie tylko łazienka, ale i całe mieszkanie. Protokół szkód opiewa:

1). Straty w ubikacji: zalanie podłogi fekaliami, co spowodowało konieczność zerwania i wymiany linoleum o pow. 2m².

2). Straty w przedpokoju: zalanie podłogi fekaliami, co spowodowało konieczność usunięcia 3 dywaników - obecnie zabrudzone, należy je oddać do prania. Płytki z PCW odkleiły się częściowo i wymagają ponownego podklejenia.

3). Straty w pokoju: zalanie podłogi i dywanu. W podłodze kilka płytek PCW uległo odklejeniu i wymaga ponownego podklejenia. Dywan został przez właściciela wyprany i obecnie jest w suszeniu.

4). Szkody ogólne: w wyniku zalania podłogi, dywanów i mebli właściciel mieszkania musiał wszystko czyścić. Na przywrócenie względnego porządku w mieszkaniu poświęcono pracę dwu osób przez 8 godzin. Uległy zniszczeniu 2 pary pończoch damskich. Mieszkanie trzeba było przez dwa dni wietrzyć. Pękła pokrywa sedesowa i wyrzucono niezdadne do użytku 2 prześcieradła kąpielowe.

Cała ta przygoda wesoło była przyjęta przez dowcipnych kanalarzy z Wickiem na czele, ale właścicielowi mieszkania wcale nie było wesoło. Działo się to w maju 1968 roku. Niewesoło też było dyrektorowi MPGK.

W 1955 roku równocześnie z budową sporego osiedla ZOR dla około 2500 mieszkańców zbudowano oczyszczalnię ścieków, jak na owe czasy całkiem udaną. Były tam osadniki wstępne typu Imhoffa oraz oczyszczalnie biologiczne za pomocą złóż zraszanych i osadników wtórnych. Oczyszczalnię zlokalizowano w sąsiedztwie parku miejskiego i ogródków działkowych istniejących wtedy tam, gdzie teraz jest osiedle przy ulicy Kopernika. Przez sporo lat oczyszczalnia ta pracowała całkiem nieźle. Było to zasługą czterech pracowników zmianowych, którzy rozumieli co to znaczy dobrze pracować i faktycznie dobrze pracowali. A byli to nie żadni cwaniacy, lecz ludzie skromni i stateczni. Nazwiska ich to: Galicki, Klewicki, Malinowski i Toruński. Do sprawności działania tej oczyszczalni przyczyniło się także przedsiębiorstwo MPGK przez zupełnie prosty fakt.

Uznano, że do pracy w ruchu ciągłym należy zatrudnić na stałe aż czterech pracowników. Ten oczywisty teraz fakt przez wiele lat w wielu miejscach nie mógł doczekać się zrozumienia. Zza biurka urzędniczego oceniano to tak: do obsadzenia w ruchu ciągłym jednego stanowiska robotnika zatrudnionego na 8 godzin wystarczy trzech ludzi. Bo 24 dzielone na 8 daje w wyniku 3. Do zastąpienia ich w niedzielę czy w czasie urlopu lub choroby wystarczy oddelegować chwilowo kogoś umięjącego to stanowisko obsługiwać, ale tylko na czas zastępstwa. Tak rozmawiali przede wszystkim urzędnicy organizacji zwierzchnich nad przedsiębiorstwami, a więc urzędnicy Zjednoczeń, którzy ustalali limity zatrudnienia i fun-

dusz płac. Przez wiele lat błędność takiego rozumowania prześladowała wiele przedsiębiorstw, gdzie ruch ciągły był regułą.

A tu na tej oczyszczalni ścieków w parku miejskim było tych pracowników czterech. Jeśli czasami przytrafiło się, że jeden z nich dublował na pierwszej zmianie kolegę, to nie spał on w ukryciu, jak sobie to wyobrażali urzędnicy w Warszawie. To właśnie dzięki temu, że byli to pracownicy uczciwi, pracowici, a nie obiboki, to i porządek na oczyszczalni był widoczny i oczyszczanie ścieków przebiegało prawidłowo. Dodatkowo nadmienić należy, że robotnicy ci dobrze znali zasady działania osadnika Imhoffa i od początku wdrożyli systematyczne, dwa razy w miesiącu, opróżnianie komory osadowej z zagęszczonego osadu. Może dodatkowym ułatwieniem było to, że nieopodal znajdowała się baza wozów asenizacyjnych. Właśnie ten robotnik dodatkowy nachodził dyspozytora wozów asenizacyjnych i namolnie go dręcząc wydebiał, że jeden z wozów przez dwie godziny pracował dla oczyszczalni. Robotnicy pilnowali skrupulatnie, aby osady wywozić i dzięki temu osadniki, które są nadal bardzo dobrym urządzeniem do oczyszczania ścieków, spełniały swą rolę bez zarzutu. Urządzenia takie charakteryzują się tym, że działają sprawnie przy systematycznej obsłudze, która nie pozwoli sobie nigdy na zaniedbanie. Jedno zaniedbanie, jedno zaniechanie usuwania osadów w określonym terminie, powoduje zapeklowanie komory. Osady osiągając zbyt zgęszczoną konsystencję, nie mogą przy takiej gęstości wypływać grawitacyjnie i wtedy następuje kres prawidłowego działania osadnika. A ujemnych skutków takiej bez troski wcale nie widać. Ścieki nadal przepływają, efekty oczyszczania pogarszają się bardzo wolno i oczyszczanie ich kończy się czasami dopiero po kilku miesiącach. Jeśli zagęszczone osady nie wypływają, to dla leniwej obsługi nawet wygoda. Roboty mniej. I tak zniszczono niejedną małą oczyszczalnię ścieków przez zwykłe niedbalstwo załogi i niedopilnowanie nadzoru.

Przypomnieć tu należy, ile to trudu, zachodu i pracy wykazał mistrz Ryszard Raczkiewicz w Piastowie, który zapalił się do skutecznego wykonania polecenia, by zapełnione stwardniałym osadem osadniki Imhoffa przywrócić do stanu umożliwiającego normalną eksploatację.

Przypomnieć należy często stosowany sposób przywrócenia sprawności osadnikom, stosowany w ZNTK. Co kilka lat dyrekcja, zdopingowana nakazami władz wodnych i poleceniami różnych kontrolerów, dawała polecenia brygadzie robotników, którzy po odwodnieniu osadnika włązili do środka i ręcznie łopatami ładowali do wiader zbite osady, aż całą tę podziemną budowlę opróżnili. Wszyscy zwierzchnicy obserwujący tę pracę rozczulali się nad ciężką dolą ofiarnych, lecz sownie opłacanych robotników, jak to oni w tak ciężkich warunkach mozolnie pracują. A potem

osadnik uruchomiano. Urządzenie zaczynało sprawnie pracować. Wszyscy się cieszyli z tak wspaniałego efektu oczyszczania ścieków i o urządzeniu zapomniano całkowicie. I znowu po kilku miesiącach, gdy nikt osadów nie usuwał, urządzenie od nowa zapychało się, zasypywane coraz bardziej skompromowanymi osadami i za kilka lat zabierano się ponownie do opróżnienia osadnika z tym samym rezultatem.

W tamtych czasach wiele ujemnych zjawisk wywodziło się z przesadnego przestrzegania planów, z których czyniono prawie fetysze. A planów na ogół nie realizowano w terminach i to sprawiało wiele szkód. Tak też było z małymi oczyszczalniami ścieków w Pruszkowie.

Jak już zaczęto budowę centralnej oczyszczalni ścieków w Żbikowie, a miała ona służyć dla całego Pruszkowskiego Zespołu Miejskiego, ustalono wieloletnie plany jej budowy, wieloletnie też plany budowy kanalizacji doprowadzającej ścieki. Plany mobilizujące, więc bardzo optymistyczne. Innych nie zatwierdzano.

Konsekwencją tych planów było postanowienie o likwidacji lokalnych i przeciążonych - bo za małych - oczyszczalni. Terminami budowy urządzeń nowych oczyszczalni i kanalizacyjnych nikt się zbyt nie przejmował, za to terminy likwidacji urządzeń starych traktowano bardzo serio. Skoro nowa oczyszczalnia miała być uruchomiona w roku 1963, to oczywiście było, że trzy lokalne istniejące w Pruszkowie mają dotrzeć do tego roku. Ale urządzenia się psują, wymagają remontów i nawet wymiany na nowe. Jeśli jednak mają być likwidowane, to jak można w planach ująć ich remonty, renowacje czy odnowę? I tak się kółko niedbalstwa zamykało. Urządzeń nie remontowano, bo nie było tego w planach. A realizacja nowych inwestycji ślizgała się latami. Bezsilność otępiła wszystkich. Dla kontrolerów, jeśli byli przystąpi specjalnie do wyszukania jak najliczniejszych mankamentów, był to wspaniały materiał do wyżywiania się. I żywali się ile wlezie, wykazując permanentne zaniedbania.

Oczyszczalnia osiedlowa w parku pracowała względnie prawidłowo, bo szczególnym zbiegiem okoliczności załogę stanowili ludzie wyjątkowo odpowiedzialni i pracowici. Ale i tak w ostatnich latach oczyszczanie biologiczne padło. Złóża zraszane wysiadły, bo młynek pordzewiał, narzut złóża zarósł osadami, a pompy zużyły się całkowicie, jednak osadnik Imhoffa do ostatka spełniał swoje zadanie.

Zupełnie inaczej działało się na trzeciej osiedlowej oczyszczalni ścieków, nazywanej „na ulicy Brwinowskiej”.

Ten kompleks oczyszczający ścieki z osiedla Śródmieście miał historię najbardziej anegdotyczną. Składał się on z dwu obiektów. Pierwszy to przepompownia zlokalizowana na ulicy Chopina przy skrzyżowaniu z ulicą dawniej Krańcową obecnie zwaną Powstańców.

Przepompownia - wiadomo - byt swój opiera na energii elektrycznej. A co się dzieje, gdy ta wysiada? Pompy nieruchomieją. Ale ścieków nikt nie powstrzyma i płynąc stale, spiętrzają się w kanalizacji.

Aby było weselej, dla kanalizacji osiedlowej w pobliżu tej przepompowni sporządzono przelew awaryjny do ułożonej półtora metra wyżej kanalizacji deszczowej. Niby to było całkiem mądre. Jak prądu brakło nieco przydługo, to spiętrzone ścieki przelewały się w końcu do deszczówki i pozornie był to jakiś ratunek. Tylko, że projektantowi przelewu zabrakło odrobiny wyobraźni. Bo przecież przelew może działać w obie strony. Jak deszczówka w wyniku ulew zapełniała się, to wody opadowe do kanalizacji sanitarnej przelewały się w drugą stronę i podtapiały przepompownię.

Znana jest złośliwość natury polegająca na tym, że często w czasie burzy pojawiają się silne opady, dosłownie ulewy, także pioruny. A jak piorun trzasnął w sieć elektryczną, to stacje transformatorowe wysiadały i prądu nie było. No i co wtedy działo się w przepompowni? Podwójny napływ ścieków. I tych bytowych z domów osiedlowych i tych opadowych z przepełnionej kanalizacji deszczowej. Często tak bywało. Silniki w przepompowni były zalewane i elektrycy mieli zajęcie: wymianę silników na inne i suszenie zamoczonych. To wszystko jeszcze nie było tak wesołe. Zwykła działalność awaryjna.

Ale zdarzało się, że robotnik obsługujący przepompownię nie zdążył z niej wyjść. Pompy stały w piwnicy (przecież w ziemie mogłyby zamarznąć). Wyjście z tego pomieszczenia było jeszcze dodatkowo obniżone schodkami najpierw w dół do korytarzyka z kratami, a dopiero z niego drugimi schodami w górę. Często więc, zanim obsługujący pompownię zorientował się, korytarzyk posadowiony niżej, był już zalany.

Zdarzyło się to panu Rurce. Obsługiwał on pompownię zastępując kolegę i nie miał tu swoich gumiaków, więc nie chcąc zamoczyć nóg, wdrapał się w pompowni na stół warsztatowy. Zawsze to nieco wyżej. A tu poziom ścieków podnosi się, ścieki zalewają nie tylko posadzkę, ale także pompy i silniki. Sufit pompowni z płyty żelbetowej tuż nad głową. Okienko małe i zakratowane. I co będzie, jak ulewa burzowa nie skończy się, albo jeszcze się wzmoże? Rzeczywiście, sytuacja rozpaczliwa. Kilka godzin biedny pan Rurka brygadzysta przekiblował w wielkim strachu uwięziony przez ścieki.

Po wyswobodzeniu go przez kolegów, którzy przybyli na ratunek ubrani w gumowe buty kanalizacyjne sięgające do bioder, wynieśli go na ramionach przez zaporę ściekową, przez co więź koleżeńska wzmożła się bardzo. Bo pan Rurka miał co opowiadać przez wiele lat, a że był on urodzonym gawędziarzem, więc każdemu nowemu koledze z pracy kolejno

bardzo interesująco swe przeżycia w tej przygodzie reiacjonował. I jak takiego nie polubić?

Była też ta przygoda ostrzeżeniem dla obsługi, by mieć w pogotowiu buty gumowe i nawet przy niewielkim podtopieniu pomieszczenia natychmiast z niego uciekać. Nadmienić też należy, że dla spokoju zamówiono pomiary geodezyjne, określające możliwość najwyższego podtopienia pompowni. Wykazały one, że delikwent stojąc na stole warsztatowym zalany byłby ściekami maksymalnie tylko do pasa. Pocięcha niewielka, ale jakaś tam była.

Jeszcze o jednym incydentalnym przypadku należy nadmienić. W momencie zaniku energii elektrycznej obsługujący stawał przed dylematem: jak długo trwać będzie zanik napięcia? Jeśli to zanik długotrwały, to będzie podtopienie pomieszczenia, więc trzeba uciekać. Ale jednocześnie zalaniu ulegnie silnik pompy. A to jest poważna awaria i znaczna strata. Samo wysuszenie silnika trwało wiele dni.

Zdarzyło się, że jedyna kobieta zatrudniona w obsłudze pompowni, pani Paskińska /nawiasem mówiąc, nikt jej nie tytułował panią, ale wszyscy mawiali: ta Paskińska/ poważyła się na coś nadzwyczajnego. Zdemontowała silnik od pompy i ulokowała go na podwyższeniu i to znacznym, bo na wysokim drewnianym pudle ustawionym na stole warsztatowym. Tam silnik był chroniony przed zalaniem. Żaden chłop, obsługujący tę pompownię na taki pomysł nie wpadł. Być może, że motywem takiej ofiarności było to, że o kobiecie obsługującej przepompownię i kraty w niej, wyrażano się z przekąsem, że to stanowisko nie dla baby, bo to robota prawdziwie męska. Chciała kobiecina wykazać i wykazała, że taki pogląd towarzyszy pracy był mylny i niesprawiedliwy.

Nadmienić też należy, że ta Paskińska była kobietą silną, w wieku już zaawansowanym, a nie żadnym wiotkim dziewczęciem. Jej postawa wynusila i na innych robotnikach zwyczaj demontowania silnika w czasie zagrożenia, co Paskińskiej sympatii nie zjednało!!! Nie zawsze ten demontaż silnika udawał się. Często zalanie pompowni było tak szybkie, że nie zdążono śrub poluzować. Tak przynajmniej tłumaczyli się ci, co silnika przed zalaniem nie uchronili.

Precedensowe zatrudnienie kobiety przy obsłudze pompowni ułatwiło w przyszłości powzięcie decyzji o zatrudnieniu kobiet w obsłudze innych pompowni, jak hydrofornie wody czy też na oczyszczalni ścieków na Zbirowie, wtedy gdy brak męskiej siły roboczej był bardzo odczuwalny.

Wy tłumaczyć też należy, dlaczego to na tej przepompowni ścieków nie wykonano awaryjnego wyjścia, chociażby przez powiększenie okna i pozbawienie go krat. Pomysł taki był. Budowla ta jednak to istny betonowy bunkier, jak już nadmieniałem, wykonany w latach pięćdziesiątych, to

znaczy wtedy, kiedy nie wypracowano jeszcze tak doskonałych metod okradania budów z materiałów budowlanych. Betonując, użyto zamierzoną projektem ilość cementu, właściwy wkład żwirowy i potrzebną ilość stali zbrojeniowej. Kruszyć więc taką ścianę nie było łatwo, a młoty pneumatyczne to był bardzo rzadki rarytas.

Drugim sposobem rozwiązania problemu było zamontowanie zaraz za pompownią na przewodzie tłocznym zasuwy żeliwnej odcinającej powrót spiętrzonych ścieków do pompowni.

Ale fetysz planowania nie pozwalał na doraźne sfinansowanie takiej przebudowy, jak również w MPGK nie było robotnika tak wykwalifikowanego, który mógłby wykonać montaż zasuwy. Zresztą ten fetysz planowania pociągał za sobą drugi fetysz: dokumentacji, nie tylko technicznej, ale i kosztorysowej wraz z całą długotrwałą ceremonią zatwierdzania, a to sprowadzało zmuszenie do bezczynności nawet tych, co chcieli coś ulepszyć. I co charakterystyczne: te same biurokratyczne bariery stawiano zarówno tam, gdzie w grę wchodziły miliardowe koszty, jak i tam, gdzie koszty mieściły się zaledwie w kilku tysiącach. Może właśnie dlatego, że tak małe wydatki łatwo było wykazać i skontrolować.

Dopiero gdy w 1969 roku przyszedł do pracy brygadzysta Stefan Dobczyk, to taką zasuwę zabezpieczającą wykonał.

W tej to przepompowni w miarę upływu lat problem skratek wydobywanych ze ścieków, który był przykry od początku, stawał się przyczyną interwencji mieszkających w pobliżu.

Jak zaznaczyłem, każdy otrzymujący mieszkania na nowym osiedlu w latach czy to pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych tak był uszczęśliwiony, że z tej radości nigdy nie poważał się na jakiegokolwiek grymaszenie. Ten problem socjologiczny, jakże ułatwiający wszelkie rządzenie, nie jest wcale zauważany w dywagacjach obecnych krytykantów socjalizmu. Nie tylko terror był orężem rządzenia.

Ale w miarę upływu czasu skratki wynoszone z przepompowni, zwalane na kupę, szczególnie w okresie letnim nie dość, że śmierdziały, to jeszcze nad nimi tworzyły się całe rojowiska much.

Po kilku latach cierpliwego znoszenia widoku przepompowni przed swoimi oknami, co śmielsi i w swoim mniemaniu ważniejsi mieszkańcy, zaczęli wygrymaszać, że smród, że muchy roznoszące zarazki, że okien nie można otworzyć, a to, a tamto... Żeby było śmieszniej, to mieszkający naprzeciwko tej przepompowni towarzysz Wierzchowski, początkowo tylko kierownik magazynów państwowych, awansował na stanowisko pierwszego sekretarza POP miasta i powiatu. Pierwszy dygnitarz w mieście nie mógł znieść takiego widoku ze swoich okien i takiego zapa-
chu.

Coś trzeba było z tym zrobić, ale co?

Projektant w opisie przepompowni określił, że odpadki stałe wyeliminowane ze ścieków przez kraty czyli tak zwane skratki „się wywiezie”. Łatwo było obiecać, ale trudno codziennie podstawiać samochód, by wywieźć te marne dwie taczki nieczystości i to w czasach, gdy każdy środek lokomocji był wszystkim na raz potrzebny. Ponadto po każdym takim wywiezieniu skratek wóz trzeba było dokładnie myć. Znowu strata czasu. A góra nieczystości bardzo mokrych roślin. Z tych nieczystości wycieka cuchnąca woda i powstaje bajoro, okropnie śmierdzące. I nawet po wywiezieniu tych skratek, bajoro nadal cuchnie i muchy lgną się coraz obficie.

Nie dało się dłużej zwlekać, chociaż ciągle, aż do znudzenia, powtarzano, że kiedy uruchomi się oczyszczalnię ścieków i odbierze kolektor B-III, przepompownia ulegnie likwidacji i problemy wraz z uciążliwościami znikną. Co odważniejsi wykazywali, że winnego należy szukać tam, gdzie permanentnie zawala się plany.

Ale tym razem główny interwent nie ustąpił, a, że był za mocny, więc trzeba było naprawdę coś z tym fantem zrobić.

Wykonało się niewielki plac wyłożony płytami chodnikowymi o niewielkim spadku, na środku placu wmontowano kratkę ściekową i z tego miejsca niewielkim przykanalikiem odpływ wody ściekowej do zbiornika czernego pomp. Na tym placyku ustawiono przyczepę samochodową na śmieci, tak zwaną „Bajaderę”, która posiadała przesuwane blaszane przykrycie. Obsługa pompowni skratki wyniesione wiadrem wysypywała wprost na przyczepę, a ściekająca z tych nieczystości woda dziurami wywierconymi w podłodze przyczepy wyciekała na płytę i z niej do odpływu.

I okazało się to wystarczające. A wykonał to w ciągu tygodnia Dobczyk z Firlejem. Do wywożenia skratek ciągnik podjeżdżał raz na dwa tygodnie. Odetchnęli mieszkańcy bloków przy ulicy Chopina. Przepompownię za kilka lat zlikwidowano, zaś budynek w narożniku ogrodzenia jakiś tam kuzyn sekretarki biura PZPR w Pruszkowie dostał dzięki za radności i uruchomił tam pralnię, która do dziś prosperuje.

Drugą częścią tej osiedlowej oczyszczalni były dwa betonowe osadniki Imhoffa przy ulicy Brwinowskiej, dokąd spływały ścieki z przepompowni na rogu Chopina i Krańcowej tłoczonym przewodem podziemnym. Przy obsłudze tych dwu osadników Imhoffa zatrudniono starszego już pracownika pana Woźniaka. Miał on za zadanie codziennie rozbijać kożuch tworzący się w części świeżowodnej osadników. Takie polecenie technologicznie było niby słuszne, bo nawet lansowane przez wynalazcę tego typu urządzenia, znanego uczonego niemieckiego Karla Imhoffa. Tylko, że rozbijanie kożucha po to, by pokawałkowany opadał na dno osadnika do ko-

mory osadowej, był aktualny w czasach o kilkadziesiąt lat wcześniej. Wtedy bowiem w gospodarstwach domowych nie używano tak wielkiej ilości różnych substancji emulgujących tłuszcze. Wraz z rozpowszechnieniem się środków ułatwiających mycie naczyń i pranie wylewanych do kanalizacji, kozuch zmienił swój skład i nawet starannie rozbijany nie chciał za nic tonąć. Ale nadzór nie ustępował, sądząc, że pan Woźniak się leni i kozucha nie rozbija dostatecznie wytrwale. I tak ten biedny, już właściwie emeryt, dorabiający sobie na pół etatu, był ciągle posądzany o niedbalstwo. A on z nawyku jeszcze przedwojennego powierzoną pracę traktował solidnie i więcej czasu niż przewidywało te pół etatu poświęcał na daremne rozbijanie tego potwornego kozucha. Ale nie chciano mu wierzyć, chociaż chłopina zaklinał się na wszystkie świętości, że pracuje ile tylko może.

O pracy pruszkowskich kanalarzy i ich sławetnym wynalazku kontry już pisałem. Dodatkowo jeszcze wspomnę o zwyczaju, jaki wytworzył się i trwał dobrych parę lat na ulicy Kraszewskiego. Ulica ta posiadała przed gmachem Urzędu Powiatowego i przed biurami Urzędu Miejskiego kilka kratek ściekowych, odbierających wody opadowe. Ale kanał odprowadzający te wody był za wąski. Przy większej ulewie letniej, wody z ulic położonych wyżej, a więc z ulicy Polnej, Komorowskiej, 17 Stycznia i z całego osiedla ZOR, musiały spływać rynsztokami na niżej położoną ulicę Kraszewskiego. A ulica ta przed urzędami była tak wyprofilowana, że był tam dołek. Przy małym deszczu wystarczało tych kilka kratek. Ale gwałtowna ulewa tworzyła tu spore jezioro wody głębokie nawet po kolana. Kiedyś tam w okresie jesiennym kratki ściekowe zapchały się liśćmi i wody nawet przy małym deszczu nie miały ujścia. Ktoś tam z urzędu potop zobaczył z okien i rozdzwoniły się telefony w MPCK. Posłano zaraz kanalarzy: Szytka, Czarniawskiego, Gosa, Mariotkę, by te kratki oczyścili. Zrobili to i wody spłynęły. Podobnie też zdarzyło się ze śniegiem i lodem w zimie. I tak wytworzyła się opinia, że jak tych kilku kanalarzy, brodząc w wodzie coś szpikulcami poszturcha, odniesie to pożądaný skutek. Za każdym więc razem, gdy ulica tonęła, kanalarze z Rurką na czele brnęli w wodzie, chociaż nie mogli zapobiec tworzeniu się potopu w przyszłości. Dla świętego spokoju symulacja trwała. Władze miały satysfakcję, że służby miejskie działają.

Po kilku latach takiego udawania Zarząd Dróg Miejskich wybudował na ulicy 17 Stycznia (obecnie Armii Krajowej) kanalizację deszczową z prawdziwego zdarzenia i sprawa znikła. A taki był atrakcyjny widok z okien urzędów. Szeroko dyskutowano też, jakie marki samochodów przez tę wodę przejeżdżają, a które zamoczone stają. Zawsze coś takiego było urozmaicheniem nudy urzędniczej.